



Skarb

tragedya w 3 aktach Leopolda Staffa. (Premiera z dnia 16 września br.)

Autor „Skarbu“, ma szczęście potrójne, któremu zawdzięcza wystawienie swojej sztuki w Krakowie. Pierwszem szczęściem jest okładka książki do której winietę narysował Stanisław Wyspiański, drugiem szczęściem jest, że rysunek ten przedstawia p. Ludwika Solskiego w roli Strażnika z tejże sztuki, trzeciem wreszcie szczęściem jest, że w sztuce tej jest rola „Dziwnej“, którą oczywiście grała p. Solśka.

W tej powodzi szczęścia mniejszem już szczęściem jest uznanie sprawozdawcy „Czasu“, który „Skarb“ nazwał dziełem „wysokiej i głębokiej, literackiej i artystycznej wartości“, choć ten sam recenzent wykpiwał autora po kuloarach teatru podczas premiery. Ze jednak zwykle za szczęściem wlece się niepowodzenie, więc i p. Staff dożył tego samego, a mianowicie, że publiczność przyjęła „Skarb“ zimno i obojętnie, że nudziła się kapitalnie, że ujemnego wrażenia nie zatarło kilka błysków poezyi, skąpo i drobno w długich tyradach rozsypanych a sztuki nie uratowało nawet bardzo dobre intermezzo na wieży kościelnej i wyborna gra p. Popławskiego w roli Kurka na kościele.

Przekona się o tem autor i przedsiębiorstwo teatralne z dalszej frekwencji publiczności na to dzieło sceniczne.

Ideę przewodnią „Skarbu“ określił sam autor:

Czas i miejsce wypadków obojętne; może „nigdzie i nigdy“, może „w nas i codzień“. Informację tę możnaby dalej jeszcze w ten sposób uzupełniać: „Może wczoraj, może jutro, może nad nami, może pod nami, z panią Solską, bez pani Solskiej, z tłumem, bez tłumy i t. d.“

Pomysł do „Skarbu“ jest stary jak świat. Tłucze się też po wszystkich tomach i tomikach różnych „poetycznych twórców“ w różnych formach. Gdyby ta sztuka była inaczej tj. zrozumialej napisana albo może przez kogo innego, temat mógłby wzbudzić artystyczne zainteresowanie. Tak jak jest, dzieło p. Staffa mimo określeń dokonanych przez samego autora nie jest niczem innym, jak dźwiękiem słów i słów, czasem nawet melodyjnym i pięknym, zwykle jednak pustym. Głębokość utworu polega chyba na jego chaotyczności.

Lud, tłum, ludzkość cała czy jeden naród, w cierpieniach i walkach, pragnie posiadać skarb strzeżony przez strażnika niezłomnego i Dziwną, niemą dziewczę... Wódz ludu jednak zamiast bronić zamku przed „nieznanyymi“ wrogami, godzi się z nimi. bo go oczarowała Obca, córa wrogów. Jak się zdaje symbol ziemskiej zmysłowej miłości. Tylko strażnik niezłomny i Dziwna bronią idei wiary w skarb, o którym nikt nie wie, nigdy wiedzieć nie może, który jest białą niezapisaną księgą i który dlatego jest skarbem, że wszyscy myślą, że ten skarb jest, choć go nie ma...

Proszę sobie wyobrazić to wszystko długo i szeroko opowiedziane w powodzi wymownych słów w czasie od 7-mej wieczór do wpół do 11 w nocy!!

Tylko epizod z kurkiem na kościele, który mówi w gładkiej i pięknej formie rzeczy zresztą znane i nieraz pięknie jeszcze wypowiedziane, zajął nieco znużoną i zniechęconą publiczność.

Wystawa była bardzo staranna, a za wielką zasługę należy poczytać p. Solskiemu, który tę sztukę reżyserował, że umiał w scenach tłumów doskonale przeprowadzić reżyserię dyrektora Pawlikowskiego, zastosowaną przy wystawieniu „Skarbu“ we Lwowie.

Ujemną stroną premiery była nietrafna obsada głównych ról tj. Strażnika niezłomnego, którego grał p. Solśki i Dziwnej, którą grała p. Solśka. Pierwszą rolę należało oddać p. Andruszewskiemu lub Jednowskiemu, zaś drugą bezwarunkowo p. Wysockiej, która przecie jako artystka dramatyczna przewyższa przereklamowaną panią Solską. Czy p. Solśki naprawdę nie widzi i nie czuje, że pani Solśka do ról silnie dramatycznych warunków ma mało, brak jej bowiem głosu. Głos jej ciągle się łamie, brzmi dwojako, a zamiast siły wydobywa się z krtani tylko przykre skrzeczenie. Prócz tego, to co pani Solśka mówi, takie sztuczne, wyuczone, wymęczone, przeciągane, a grane na zimno, tylko na efekt! A pozy? Pewnie, że śliczne, ale same pozy nie wystarczą — do dramatu. Pani Solśka może doskonale się wyuczyć ról innych i wybornie je wykonać, w Krakowie jednak, gdzie jest pani Wysocka, a zostało niezatarte wspomnienie po takim talencie jak Mrozowska, ról dramatycznych grać nie powinna.

P. Solśki powinien był grać kurka na dachu. To była rola dla niego. Grał ją jednak także wybornie p. Popławski. Odebranie tej roli po pierwszym przedstawieniu zasłużonemu artyście p. Popławskiemu a oddanie jej p. Leszczyńskiemu jest jednym więcej dowodem, jak przedsiębiorca teatralny traktuje ludzi, których pracę kupił i źle płaci. Rolę cofa się na próbie, ale nie po premierze. Aby zaś oćmić publiczność wysłano do dzienników komunikat, że p. Popławski zachorował, co jest fałszem. Zaiste, wyższa bezczelność!

Monotonie wieczoru rozjaśniła p. Ordon-Sosnowska w roli Obcej. Wyglądała przesłiznie, a w powódź sztuczności wniosła powiew szczerości, prawdy, żywego wrodzonego talentu nie zastąpił nigdy „robotą“.

Publiczność przyjmowała p. Ordon-Sosnowską owacyjnie.

Silne wrażenie wywołała również gra p. Arkawin w pierwszej scenie pierwszego aktu. *Oświk*

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

17

(Ciąg dalszy).

Wśród płaczu i łkania zaprzysięgła że do niedawna była jeszcze w jak najsłabszych stosunkach z Rudolfem, a nawet cześć swą złożyła na ołtarzu tej miłości i, że posiada pisemne zapewnienie, iż z nią jedynie się ożeni. Gdy jednak poznał Gretę, zerwał z nią wszystkie stosunki i przysłałszy jej listownie pożegnanie, ofiarował w zamian za zawód pewną sumę pieniędzy.

Łzy i rozpacz tej damy były takie prawdziwe, takie przekonujące, że Greta uwierzyła im, choć serce szeptało jej co innego. Gdy zaś dama podała jej list pisany ręką Rudolfa, Greta poznała pismo ukochanego i serce ścisnęło się jej, gdy przeczytała, w jak szorstki i ordynarny sposób ten Rudolf żegnał swą dawną kochankę, chcąc jej złoćtem za wstyd zapłacić.

Greta natychmiast oświadczyła, że do Rudolfa nie ma żadnych pretensyi, że znać i widzieć go nie chce, a gdy Franciszek, który nadszedł w tej chwili, opowiedział jej, że ojciec jego, na wieść, iż Rudolf chce żenić się z nią, dostał ataku apopleksyi i na śmiertelnym łożu zmusił syna do przysięgi, iż nie poślubi nigdy córki pisarza, rzekła, że każdej chwili gotowa jest zwrócić mu słowo. Franciszek zaoponował jej, żeby uczyniła to zaraz listownie i sam podjął się doręczyć list bratu. Greta istotnie napisała kilka słów i dołączyła do listu prostą złą obrączkę, jedyny dar, jaki otrzymała od Rudolfa. Franciszek schował list i pierścionek, podziękował jej serdecznie za tak szlachetny czyn, a towarzysząca mu panna Aurelia Burky, poprzysięgła mu miłość dogonną.

Helena, która w milczeniu przysłuchiwała się dotychczas opowiadaniu starca, nagle poruszyła się gwałtownie. To nazwisko zaintrygowało ją.

— Amelia Burky? czy się pan nie mylisz?!... To jest panieńskie nazwisko mej stryjenki, obecnej żony mego stryja Franciszka!...

— Tak jest! ja się nie mylę! To była stryjenka pani, panno Springer — rzekł chmurnie starzec. — Domyśla się pani chyba, co potem zaszło. Nazajutrz Rudolf przysłał list, w którym bynajmniej się nie usprawiedliwiał, lecz pisał, że oświadczenie Grety przyjmuje do wiadomości i że pier-

ścionek otrzymał. Wspominał też o tem, że życie w tych warunkach i dla niej i dla niego w jednym i tem samym mieście, gdzieby się mogli spotykać, byłoby za nadto przykre, więc on ustąpi, a jej przysłał tylko szczere życzenie pomyślanej przyszłości i nie chce nawet wspominać o jej postępowaniu!...

Ten list dowodził, że doktor Harras mówił słuszność, że Franciszek miał rację, ale Greta na razie nie dowiedziała się o tem. bo.. ciężka choroba, zapalenie mózgu, powaliła ją na łożo. Tymczasem odbył się pogrzeb starego Springera i całe miasto zostało poruszone wieścią, że Rudolf, którego uważano za głównego spadkobiercę, wyjechał za ocean, aby dopiero kiedyś, po latach, powrócić.

Zdziwienie wzrosło jeszcze, gdy przy przeprowadzaniu sprawy spadkowej, nie znalaziono wcale testamentu, lecz natomiast tylko pismo Rudolfa, uwierzytelnione podpisami Franciszka i doktora Harrasa, w którym podpisany, z wyjątkiem małej sumy, rzekł się praw do całego majątku.

I naraz zaczęły krążyć straszne plotki! Rudolfa Springera nazywano złodziejem, oszustem i cuda opowiadano o nim! Jak długo była Greta chora, jak długo była rekonwalescentką, udawało mi się zataić przed nią te straszne historie. Ale gdy już wyzdrowiała, gdy doktorzy sami nakazali jej długie spacerować, nie mogłem, nie byłem w stanie zapobiec temu, aby potworne wieści nie dotarły do jej uszu. A ona biedne dziecko, wciąż jeszcze kochała swego Rudolfa. I dowiedziała się o wszystkim! Ktoś powiadomił ją o tych plotkach i pewnie umiał je ubrać w jeszcze potworniejszą szatę, jeszcze brutalniej musiał to uczynić, bo po drugiej przechadzce trupa jej przyniesiono do mojego domu. Z włosów jej, z sukienki spływały strumienie wody... Zakończyła życie samobójstwem i zwiłki jej pogrzebano pod murem cmentarnym w niepoświęconej ziemi. Wówczas to przysięgałem zemstę za zniweczone moje i jej szczęście i za winowajcę uważałem jedynie Rudolfa. Lecz niebawem wątpliwości zrodziły się w moim sercu, a zrodziły się wówczas, gdy Franciszek Springer, jeszcze nim skończyła się żałoba po ojcu, poprowadził do ołtarza rzekomą kochankę Rudolfa, Amelię Burky!...

Ale dopiero w rok później dowiedziałem się jakiej potwornej zbrodni byliśmy ofiarami: ja, Greta i Rudolf!...

Pewnego razu, gdy już pisarze opuścili kancelaryę adwokata Harrasa i gdy pryncypał mój myślał, że i ja już poszedłem, całkiem przypadkowo

byłem świadkiem rozmowy jego z Franciszkiem Springerem. Obaj myśleli, że w przedpokoju nikogo nie ma, bo drzwi od gabinetu doktora stały otworem, a oni sami mówili tak głośno, że słyszałem najdokładniej każde słowo. Klócili się zawzięcie o jakieś papiery, które były w posiadaniu doktora, a które Franciszek koniecznie chciał od niego dostać. Harras oświadczył, że papierów tych mu nie wyda, a gdy Springer zarzucił mu, iż zatrzymuje te papiery, aby tylko wciąż go mieć w ręku i kiedyś zniszczyć kompletnie, mój zacny chlebowdawca wzruszył obojętnie ramionami i rzekł, że Franciszek bynajmniej się nie myli! Kłótnia ta trwała dość długo, ale do niczego nie doprowadziła, bo prędzej mój świat wzruszyć w posadach, niż zmienić postanowienie Harrasa. Ostatecznie stryj pani, klnąc jak parobek, opuścił kancelaryę doktora. Nie dojrzał mnie w przedpokoju, bo światło było już zgaszone, ale zaledwie wyszedł, otrzymałem nowe wskazówki co do tych tajemniczych papierów. Doktor Harras przysapnął bowiem do biurka, nacisnął jakiś guzik, czy gwoździć, który sobie dobrze zapamiętałem i z tajemniczej skrytki dobył plik papierów, przez chwilę oglądał je z wyrazem zadowolenia, a potem schował je napowrót do tej kryjówki!...

W tej chwili powziąłem stanowcze postanowienie, że bądź co bądź muszę oglądać te papiery, a że plan mój wykonam, o tem byłem święcie przekonany.

Z wprawą, jakiej nigdy nawet nie spodziewałem się po sobie, porobiłem w wosku odciski z wszystkich zamków i kazałem ślusarzowi, aby mi porobił klucze. Ślusarz znał mnie bardzo dobrze i bez żadnych trudności spełnił moją prośbę. I we dwa dni później koło dziesiątej wieczorem wybrałem się na tę wyprawę. Otworzyłem drzwi wchodowe do kancelaryi, a wszedłszy, zamknąłem je na klucz za sobą. Potem przy pomocy dorobionego klucza dostałem się do kancelaryi doktora i zapaliwszy stoczek zacząłem szukać owego gwoźdźca, pod którego naciskiem otwierała się tajemnicza skrytka. znalazłem go, pocisnąłem i cichy okrzyk tryumfu wydarł się z mej piersi. Papiery, owe tajemnicze papiery leżały przedemną! Mogłem je brać i oglądać!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

